**Ner 12.** **Kraków 15 czerwca 1868.** **Rok III.**

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

# KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Jagiellońskiéj Nr 204 na dole otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.



☛ Począwszy od czerwca b. r. znajduje się **biuro** nasze przy **ulicy Jagiellońskiéj Nr. 204.** dom jen. Kruszewskiego — na dole, od frontu.

☛ **Dzisiejszy numer jest ostatnim bieżącego kwartału. — Upraszamy o wczesne nadesłanie dalszéj prenumeraty — i zaległości.**

Uwzględniając nadsyłane nam żądania — postaraliśmy się znowu o **ulepszenia mód, wzorów dla domowéj roboty** — o czém bliższe szczegóły w następnym numerze.

☛ **Nowo przybywający Prenumeratorowie otrzymają w dodatku dzisiejszy numer, w którym się nowa powieść zaczyna.**

☛ Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **nuty.**

## Uroczystość czeska.

Sprawy literatury i sztuk pięknych ważne dla każdego społeczeństwa stają się tém ważniejszemi, naczelnemi prawie dla narodów, których naturalny rozwój jest skrępowany przez uciążliwe stosunki polityczne, dla których zaledwo pewne tylko kierunki są dozwlone. Nic też dziwnego, że zakładanie węgielnego kamienia pod teatr narodowy w Pradze, mający być akademią gustu, historyi i obyczajów — stało się dla Czechów uroczystością ku ucieszeniu serc i podniesieniu otuchy; stało się słowiańskiém świętem.

I w istocie było się z czego radować. Świątynia żywego słowa staje składkowym groszem, udziałem całego narodu, nie zaś wyłącznie pewnych bogatszych lub ukształceńszych warstw. — Toć lud wioskowy, najodleglejsze gminy przyczyniły się ochoczo do dzieła. Pokazały się i tutaj owoce długoletniéj pracy na serjo, pracy około oświaty i uświadomiania poczucia narodowości, jaka wśród klęsk i niepowodzeń bezustannie się tam krzewiła za wzorem sławetnéj „Maticy czeskiéj.

Książki, dzienniki nie są tam przymusem, ani zabawką, ani zbytkiem; tysiącami strumieni rozchodzi się prawda, bo bijące serca potrzebują jéj, i literatura, dziennikarstwo są widomym znakiem trzymania się za ręce.

Więc też i na uroczystość pospieszyły tysiące narodu, pieszo i konno, z okrzykiem: „sława“; ze śpiewem: „gdzie jest dom mój“ — „hej Słowianie, jeszcze nasza słowiańska rzecz żyje“ — jak gdyby „Zabój“ zwoływał braci na wielkie wiece gdzieś z głębi czarnych lasów — że aż granity ojczystych gór poruszyły się w drogę do Pragi! I zgromadzał się naród, wypowiedział nadzieje swoje, prawa swoje i potrzeby, bo je czuje, rozumie, ma ochotę, odwagę i cierpliwą wytrwałość, bo skutkiem rzetelnéj dobréj woli, oświaty, dziennikarstwa doszedł do zgody społecznéj, i nie usuwa mu się ziemia z pod nóg.

Są to podniosłe strony téj uroczystości, a dla nas zaprawdę zawstydzający przykład.

Społeczeństwo i dziennikarstwo polskie cechuje dzisiaj nieuprawniona a zaślepiona stronniczość i koteryjność, a nadto dziwny jakiś, upór, lenistwo i zabrnięcie w prowincjonalnych sperandach — albo w kołowaciźnie dyplomatycznych mrzonek. Więc téż nie chciano u nas postawić tych względów na pierwszém miejscu — ale wystarczyło rzucić potępienie z obawy przed upiorem rosyjskiego panslawizmu.

Co do nas, znajdujemy to zupełnie naturalném, że Czesi zaprosili wszystkich Słowian — że więc Rosjan pominąć nie mogli i nie potrzebowali. — Wszakżesz nie urządzali uroczystości polskiéj, ale czeską i słowiańską. Dziwna pretensja u nas, gdy sami nic nie robimy, żądać od drugich, żeby sprawy swoje załatwiali tak, jakby nam było dogodnie. A zresztą, jeżeli żądamy tego, to jedźmy tam i powiedzmy głośno. Do Petersburga na etnograficzną wystawę Polacy pojechać nie mogli; ale w Pradze wolne i otwarte miejsce dla

nas, tam zabrać głos i powiedzieć: ja mam prawo! tam otworzyć oczy błądzącym i światu — nie zaś krzyczeć *veto* i uciec na Pragę — tam spojrzeć w oczy strachom i upiorom, zawstydzić fałszywych, upokorzyć wrogów, przekonać się o stanie rzeczy i nauczyć się wiele, o wiele! Kto wierzy w prawdę i w świętość swojéj sprawy, przyznać musi, że była to rzecz możliwa i godziwa — ale niestety, potrzebowała żywego poczucia, ochoty i trochę odwagi — a tego dzisiaj nie ma!

Należy z drugiéj strony przyznać, że i Czesi popełnili przy téj sposobności wiele rzeczy niepotrzebnych i różne dziecieństwa. Dosyć przypomnieć im jedno, że prócz kilku znakomitości naszych — nie zaprosili instytucyj narodowych, nie zaprosili redakcyj dzienników — a zaprosili publicznie niejedną osobę ani znaną, ani szanowaną! *).

Pochodzi to z niewiadomości — bo nie ma dzisiaj węzłów, komunikacyi i sojuszu między nimi a nami — bo galicyjscy mędrcy zerwali zadzierzgnięte nici. — Ależ jeżeli macie się za starszych braci i za uprawnionych, to pouczcie ich i podajcie rękę — a zarazicie może się ich wytrwałością i zdrowiem społecznem i skorzysta może na tém nasza narodowa praca, nasze zabiegi około oświaty i dobrobytu — nauczymy się może, jak się naród wychowuje.

Pismo nasze, niepolityczne — nie może być w podobnych razach publicystyczną placówką — atoli obowiązkiem naszym jest zwrócić — w sposób możliwy dla nas — uwagę na to, co się godzi i sprostować, co sprostowania potrzebuje. — Z polskich instytucyj jedno Towarz. Nauk. Krakowskie posłało do Pragi życzenia. *A. S.*

---

# ARTUR GROTGER.

## Ustęp z dziejów sztuki polskiéj.

(Ciąg dalszy.)

Są to perły drogocenne, które czekają tylko, żeby je na jaw wydobyto. Są one następujące: *„Miłość Boga“* i *„Miłość Ojczyzny“* — dwa rysunki które ofiarował urodzonemu właśnie wtedy siostrzeńcowi. Sceną na pierwszym jest chór kościelny — zakonnik gra na organach, a mały chłopczyk z gołębią prostotą i rzewném natchnieniem w postaci i twarzy śpiewa. Patrzącemu zdaje się, że słyszy „Kiedy ranne“, albo pieśń ucisku „Boże-Ojcze twoje dzieci“. Na drugim jest scena w grobach wawelskich. Matka przyprowadziła przed sarkofag Kościuszki chłopczyka, a ten z pokornem uniesieniem całuje medalion prawego bohatera. Zaprawdę trudnoby obmyślić piękniejszy i więcéj znaczący podarunek na drogę życia! — Ilustracje do *„Króla-Ducha“* — Słowackiego: *„Popielówna z barankiem“* i drugi raz *„nad źródłem skamieniała“*.

*„Portret chłopczyka“* z natury. — Kilka portretowych studjów kobiecéj głowy. — *Cygan* — *Huculy* — niedokończone *„Bajki“*, które stara piastunka opowiada, a dzieci potrwożone kulą się do kątów w łóżku — obrazek wielkiego uroku....

---

*„Litwa“* wystawiona była we Lwowie na widok publiczny w lecie 1866 r. — jednak oprócz pochwał, nie znalazł się dotąd nikt w kraju, ani żaden obywatel, ani żaden zakład lub miasto — żeby nabyć i ocalić dla kraju te arcydzieła. Ofiarowano ceny — lecz ubliżające zarówno artyście, jak i dziełu. Grotger postanowił więc zawieść *„Litwę“* oraz nowo poczęte prace na przygotowującą się właśnie wystawę powszechną w Paryżu. Tymczasem przebywał jeszcze w Galicyi w różnych miejscach, a wszędzie pozostały po nim ślady w obrazach, z których jedne charakterem motywów, a wszystkie artystyczną wartością z ogółem prac jego w nieśmiertelną wiązankę się układają. O ile się dotąd dowiedzieć dało, należą tu:

Portret *„Jerzego ks. Lubomirskiego“* — zrobiony w trzy dni, a mogący służyć na jakiś hetmański model. — Potrety dla pp. Wolfów w Krakowie i podobno dla pp. Niedzielskich w Śledziejowicach.

Dwa obrazy olejne: *„Pożegnanie“* — dziewczę przypina kokardę odjeżdżającemu powstańcowi — i *„Powrót“* — *„noc“*, w głębi oświecony dwór, w ogrodzie ten sam powstaniec — ale bez ręki — rozmawia z tą samą dziewczyną, ale ona w ślubnym stroju. Jest to prawdziwa i częsta stacja prywatnego smutku w pośród ogólnéj niedoli. Wykonanie stosunkowo mierne.

Kilka obrazów na motywa *„Sybirskiéj niedoli“*. — O jednym z nich pisze w liście Andrzéj Grabowski: „Artur potrzebował kawałka papieru, kredki lub węgla i w polu na kolanie był zdolnym wykonać obraz potężnéj siły, mogący wstrząsnąć sercem. Taki obraz ostatniemi czasy przed swym wyjazdem do Paryża zrobił w Pieniakach u Włodz. hr. Dzieduszyckiego. Przedstawia on trzech sybirskich wygnańców, gdy z grubego drzewa ciosają krzyż, mający stanąć na świeżym grobie czwartego.... Jest to mały rysunek, ale niezapomniane robi wrażenie — własność hr. Dzieduszyckiéj“.

Na ten sam temat jest *„Pochód skazańców sybirskich wśród śnieżnéj zamieci“* — widz drętwieje z przerażenia w obec srogości ludzkiéj i klimatu, jaka z tego drobnego obrazka wieje.

Dwa rysunki, ustęp z walki: *„atak na bagnety powstańca z sołdatem“* — na drugim *„trupy obydwóch“* — własność rodziny.

*) Kto jest np p. Mieczysław Dzikowski?

Dłuższy czas przebywał Grotger w Porębie pod Krakowem. Tutaj pozostawił portrety kredką lub ołówkiem rodziny hr. *Bobrowskich:* ojca, żony, dwóch córeczek i syna. Wyrazistość fizionomiki i delikatność rysunku odznaczają te prace. A były one robione od niechcenia, wśród rozmowy, przy świetle, podczas herbaty wieczornéj.

Tutaj również gdy z okazyi teatru amatorskiego potrzeba było zasłon — wyjął z komina węgiel i na prędkości sposobem dekoracyjnym naszkicował dwa wielkie kartony, przedstawiające w postaciach kobiecych „*Komedją* i *Muzykę*“.

Wtedy też nadesłał dla „Kaliny“ tytułową winietę, z którą w r. 1866 wychodziła. Był to rysunek bardzo wdzięczny, charakterystyczny i odpowiedni: w pośrodku ocieniony kaliną ołtarz, na którym pali się Znicz, a u stóp kurhanowy, słowiański garnek — małe gnomy oplecione w litery napisowe „Kalina“ — znoszą na ołtarz z obu stron godła wszelkich kierunków, które literatura, a szczegołowo „Kalina“ obejmuje — więc harfę, paletę, księgę, nuty, globus, wrzeciono, nawet mody i t. p. — Zmyślny ten rysunek został jednak zepsuty w drzeworycie, jakkolwiek wykonanym w Lipsku w zakładzie Brockhausa.

Z tych czasów jest jeszcze „*Spacer w ogrodzie*“ i wiele innych obrazów nieznanych i w prywatném posiadaniu będących.

* * *

Wśród tych zajęć obmyślał już i pracował Grotger nad nowém wielkiém dziełem, które też następnie uwieńczyło i zakończyło zarówno prace jego, jak i życie. — Sześć obrazów wziął z sobą już gotowych, resztę miał dokonać w Paryżu. Przybył tam w grudniu 1866 r. z głową pełną planów, z ochotą do pracy i doskonalenia się na wzorach francuskich, w galerjach tak bogatych jak Louvre, Louxenbourg i Versailles, z nadzieją sławy i powodzenia, z całym męzkim zapałem i siłą. Zdawało się nawet, że w téj wysmukłéj, kościstéj i żylastéj postaci było niewyczerpane zdrowie. Najpierw jednak musiał znowu utknąć o rzeczywiste stosunki, o zupełny brak funduszów. Musiał więc brać się do robót łatwiejszych do spieniężenia, lubo wartość ich artystyczna jest wysoką. Należy tu obraz:

„*Skazańcy sybirscy na etapie*“ — jest ich kilkudziesięciu, uporządkowani w szereg do dalszego marszu, jakby istoty bez czucia i woli, po ubiorach i wyrazie oblicza poznać, że są to ludzie z wszystkich warstw społeczeństwa naszego; z kilku stron konwój kozaków na koniach. Obraz to prześliczny, potrójnéj wielkości zwykłego arkusza rysunkowego papieru, wykonany w pięciu dniach, a kupiła go w hotelu Lambert hr. Działyńska za 600 franków.

Mając na jakiś czas zapewnione utrzymanie, oddał się, z małemi przerwami dla drobniejszych rysunków lub portretów, — już wyłącznie wykończeniu największego swojego dzieła, które koniecznie chciał dać na wystawę. Było to dla niego tém ważniejszém, ile że „*Litwę*“ powieszono w bocznym pokoju pomiędzy planami architektonicznemi i w najniekorzystniejszém świetle, tak, że mało kto mógł ją odszukać. — Nowe to dzieło wykończył w czerwcu 1867 — ale z powodu braku miejsca w oddziale austrjackim zaledwie w końcu lipca wystawione zostało, głównie za staraniem vicekonsula Szwarca, który komisarzom wystawy koniecznie miejsce wynaleść polecił. Postawiono więc te obrazy osobno na sztalugach na środku jednéj z sal w dziale sztuk pięknych — a nazwał je autor: „*Wojna*“ (la guerre devant l'art). (C. d. n.)

---

# O wschodzie w górach.

(ELEGIA.)

Rozwidniła mi się dusza
Różanéj jutrzenki blaskiem,
Myśli zawisły nademną
Zielonym, brzozowym laskiem,
Po gałęziach do pacierza,
Uczuć ptastwo się zmówiło, —
Smutków krzyż objąłem w dłonie,
O spokoju mi się śniło. —

Sen był — i przemiana we śnie:
Roztrwoniłem się na kwiaty,
Rosą łzawe niezabudki,
I konwalje i bławaty,
I na łodzi z chmurki białéj
Z oddechem wiosennéj woni,
Popłynąłem w świat, wesoło...
Zdawało mi się — że do niéj...

Do niéj? dokąd? czyliż ona
Jest gdzie? czyliż kiedy będzie? —
Zbudziłem się dziennym skwarem,
Z pod mgły wyszły skał krawędzie. —
Rozbijają się uroki
O granity prawdy nagiéj —
Pada cień od smutków krzyża,...
O niech woła kto: odwagi!

*alf.*

---

# Pamiętnik sieroty.

przez ***Bohdana.***

„Wady pomagają w życiu, zalety zaś szkodzą, i z téj podwójnéj uwagi, może słusznéj, a bez wątpienia bolesnéj, możnaby wyprowadzić tę konkluzję, że okropną jest rzeczą żyć na tym świecie, i że nie ma nic bardziéj pobudzającego do rozpaczy, jak patrzeć wiecznie w oblicze społeczeństwa, w którém złe ma tyle powodzenia, gdzie dobro doświadcza tyle ciężkich kolei. A jednak ta konkluzja byłaby mylną. To badanie społeczeństwa i własnéj osobistości jest przeciwnie źródłem bardzo słodkich pociech. Dla człowieka z sercem, piękną to jest rzeczą powiedzieć sobie: Złym ludziom wiedzie się na świecie... a ja nie chcę, by mi się wiodło. Żeby osiągnąć celu, potrzebuję tylko popełnić zły uczynek... a ja nie chcę źle czynić. Idzie o to tylko, żeby być trochę nikczemnym, przez jednę chwilę, i szczęśliwym można być zawsze... otóż ja nie chcę być nikczemnym. Odmówić sobie tego szczęśliwego losu, żeby pozostać konsekwentnym z samym sobą, poświęcić się idei bez żadnéj nagrody, wiedzieć, że się zostanie osądzonym mylnie, i znieść odważnie ten srogi sąd ludzki, to piękne bez zaprzeczenia, to jest po prostu dowieść Boga“.

*Delfina de Girardin.*

**Śniwodów.** * * *

Szczęśliwe narody, które nie mają historyi, powiedział ktoś słusznie. Szczęśliwe osobistości nie czują widać także potrzeby kreślenia historyi swéj własnéj. Szczęście się nie opisuje, a przynajmniéj mieści się w krótkich bardzo wyrazach. Nieszczęście jest mownem i lubi znajdować ulgę w serdeczném wynurzeniu się...

Ale ja mówić o sobie nie lubię, i z kimże zresztą mówić będę?

Zabraknął mi, skutkiem straszliwego ciosu, co uderzył w życie moje, dotąd tak ciche i spokojne, jedyny powiernik i przyjaciel, który się nigdy i nikim zastąpić nie da; w dwudziestu leciech, stoję u progu nowéj epoki egzystencyi mojéj, sama i w żałobnéj sukni.

Nie mogłabym opisać, co się ze mną działo niedawno; minęło już tygodni kilka, i naturalne koleje uczuć ludzkich, rozpacz moja przycichła i osiadła w głębiach serca, ale ty widzisz, o Ojcze! te głębie, i wiesz, że żal mój, jakkolwiek twarz już spokojna i ludzie powiedzieć mogą: „prędko i łatwo pocieszyła się“ — pozostanie jednakim...

* * *

Spodziewałam się dawno tego, co mnie spotkało, to jest pewności katastrofy, która dotąd była przypuszczalną. Kto przebył nieszczęścia, o miliony razy większe, może już przyjąć spokojnie klęskę ciężką, ale zawsze tak małą w porównaniu.

Dziś z rana przybył poczciwy pan Jacek, stary przyjaciel mego ojca.

— Prosiłaś mnie moje dziecko, rzekł na wstępie, ze szczérym wyrazem smutku — o przejrzenie interesów twego majątku. Powiedz mi, miałaś ty złudzenia pod względem ich stanu?

— Bynajmniej, kochany panie — odpowiedziałam żywo, z jakimś wyrazem odważnym, który uspokoił trochę poczciwego starca. — Zdaje mi się, że domyślam się doskonale, jak rzeczy stoją.

— Jakże ci się zdaje?

— Że nie mam nic — odpowiedziałam.

Łzy pokazały się w oczach staruszka. Otworzył mi swoje ramiona i utulił w nich serdecznie.

— Jestem twoim chrzestnym ojcem, moja Maryniu, rzekł — i starym przyjacielem twojego ojca. Drzwi mego domu zawsze otwarte dla ciebie — rzekł ze wzruszeniem, które mnie bardzo przejęło.

— Dziękuję panu z głębi serca, za uczucie, które tę propozycję pana dyktuje, odpowiedziałam. Ale daruje mi pan, że ofiary téj przyjąć nie mogę.

— Dla czegóż to? powiedz mi.

— Dzięki Bogu i ojcu memu, potrafię zapracować sobie na życie.

— Ty! zawołał pan Jacek, z taką miną przerażenia, iż mimowoli uśmiechnęłam się. Zdawało się chyba poczciwemu naszemu przyjacielowi, iż się wybieram na buraki, jak u nas mówią.

— Wszak mogę być nauczycielką — rzekłam.

— Możesz, zapewne — rzekł pan Jacek. Ale mi to serce kraje...

I rozpłakał się po raz wtóry. Długo go pocieszałam, zapewniając go, mniéj więcéj szczerze, iż zawód nauczycielski nie jest strasznym dla mnie.

Trudno było przekonać go.

Gdy zostałam samą, starałam się zebrać myśli, wejść w siebie, i zastanowić się serjo nad przyszłością.

Wyznaję, iż pierwsze wrażenie, po przekonaniu się dowodném, iż nic nie mam, było mniéj przykre, niż późniejsze rozmyślanie. Byłabym wielce fałszywą, gdybym mówiła, iż czuję, że strata niezależności i majątku jest rzeczą małéj wagi.

Nie widzę rzeczy zbyt czarno i chcę być odważną; ale znów nie mam wcale marzeń różowych. Patrzę okiem rozważném na życie, które otwiera się obecnie przedemną.

Czeka mnie najprzód: praca, któréj się nie boję, bo nigdy nie próżnowałam. Rodzaj pracy wprawdzie nie powabny, ale szlachetny.

Czeka mnie na pewno zależność, rzecz przykra, i prawdopodobnie upokorzenie, rzecz bardzo bolesna.

Ale dojrzałam już od dawna o tyle, że nie spodziewałam się bynajmniéj, przejść drogę życia po kwiatach.

Więc w imię Boże (jak niewypowiedzianém szczęściem jest posiadanie skarbu wiary)! zabieram się odważnie do nowego życia mego.

* * *

Napisałam do dawnéj znajoméj mojéj, z prośbą o wyszukanie mi miejsca nauczycielki. Nie chcę bowiem odkładać spełnienia postanowień moich. Pan Jacek zapewnia, że nie mam potrzeby tak bardzo się spieszyć; wolę jednak to skończyć prędzéj.

Znajoma, do któréj się udałam, jest to dawna sąsiadka, niegdyś śliczna panienka, dziś wielka pani. Smutne jednak jéj losy, choć ona może tak nie myśli. Z krwią zimną, jak się to zdarza, oddała swą rękę niemiłéj osobistości, któréj kochać nie mogła. Nie wiem, czy jedynie widoki interesowane skłoniły ją do tego. Chociaż to tak wygląda, nie chcę ją sądzić surowo, pamiętna zawsze na to zdanie, które mój biedny ojciec, surowy tylko dla siebie, często powtarzał: *Tout comprendre, c'est tout pardonner.* Wielką i trudną cnotą jest wyrozumiałość; czuję, że ćwiczyć się w niéj jest mi konieczna. Na jakie próby wystawioną być mogę!

Wracając do księżnéj M. udałam się do niéj dla tego, że nie znam nikogo innego, któryby mi w tym względzie mógł usłużyć z taką łatwością, i że mi wiele zawsze okazywała serdeczności, nawet po swojém wyniesieniu, które przyjęła szlachetnie, nie dozwalając pięknéj główce zbytecznie się niém zawrócić i nie wpadając w błąd nizki zapierania się pochodzenia swego, jako też wszystkiego, co jéj skromniutką przeszłość przypominać mogło.

* * *

Odebrałam odpowiedź od księżnéj M. pełną współczucia i tchnącą szczérą przyjaźnią. Ofiaruje mi w sposób bardzo delikatny i obowiązujący, to samo, co ofiarował mi pan Jacek, tj. schronienie u siebie. Odpisałam jéj natychmiast, wyrażając jéj naprzód wdzięczność moją, a potem tłumacząc szczerze powody mojéj odmowy, i ponawiając prośbę o zalecenie mojéj osoby jakim poczciwym ludziom, potrzebującym nauczycielki. Czekam niecierpliwie na to, co mi odpisze.

## Księżna M... do Maryi O...

**Wielkie Dęby.** * * *

Zasmuciłaś mnie mocno, moja kochana i nie dobra Maryniu, tak w moim egoizmie, jak w przyjaźni mèj dla ciebie. Odebrałaś mi najprzód słodką nadzieję, którą cieszyłam się bardzo — a potém, nabawiasz mnie niepokojem o przyszłość twoją.

Moje śliczne dzieciątko, pozwól starszéj i szczerze tobie przyjaznéj, rozmówić się z tobą poufnie. Ty wychowałaś się bez matki, pod pieczą ojca najzacniejszego, ale nie mającego pojęcia o świecie rzeczywistym, i praktyczności potrzebnéj, by sobie na nim dać radę. Natchnął też ciebie ideami egzaltowanemi jakiéjś cnoty, za wysokiéj by słaba ludzka natura mogła do niéj dosięgnąć, bez wysilenia zbytecznego.

I tak, wzrosłaś w dostatku i niezależności, otoczona poważaniem, a dziś bez konieczności naglącéj, jedynie, żeby zaspokoić zbyt drażliwe sumienie, w przesadzonéм wyobrażeniu o obowiązkach, chcesz obrać zawód najnieznośniejszy w świecie, jak to mogłaś uważać na wielu osobistościach, kiedy bez narażenia twojéj godności, możesz inaczéj i lepiéj urządzić przyszłość twoją.

Ale znam ciebie, moja Maryniu, i twój charakter, ak mocny w swéj łagodności. Wiem, że cię nie przekonam, a ponieważ chcesz uważać za dowód mojéj przyjaźni, zajęcie się wynalezieniem ci miejsca, jestem ci posłuszną, choć szczérze tém zasmucona.

Trafia się właśnie miejsce, w znajoméj mi rodzinie, i los chciał ci dogodzić, bo jeśli może być przyjemna pozycja tego rodzaju, o czém ja wątpię, to chyba u takich ludzi. Wprawdzie, uprzedzam cię od razu, że tam znajdziesz przesądy i zasady w niektórych względach bardzo przeciwne twoim, ale znam przecie twój takt w postępowaniu i wyrozumiałość dla drugich; a kompensacją tego, bardzo ważną, jest dobre wychowanie; przyznasz moja droga, że z ludźmi, którym brakuje tego warunku, życie codzienne bardzo jest ciężkiém.

Przytém co ważniejsza, jeszcze, naturalnie, są to ludzie wielkiéj zacności, którym nic zarzucić nie można.

Ale muszę pobieżnie zapoznać cię z nimi, żebyś przybywszy do nich, wiedziała odrazu, z kim masz do czynienia. Zacznę więc w sposobie dramatu lub komedyi:

Hrabia Adam P. lat 60.

Hrabina Jadwiga P. z domu księżniczka M. lat 52.

Hrabia Oleg. P. ich syn lat 25.

Hrabianka Lunia (Dolorosa *) P. sierota, córka starszego syna hrabiostwa, lat 8.

Scena się dzieje w Brzozach, majątku hr. Adama.

Hrabia Adam jest to sobie arystokrata *de la vieille roche*, bardzo grzeczny, jak każdy prawdziwy arystokrata; hrabina znów, osoba wielkich cnót domowych, jeśli się tak wyrazić można; przytém niezmiernie pobożna, jak każda arystokratka. Hrabiego Olega trudno zdefinijować, znam go mało, zresztą nie ma go jeszcze w domu, podobno wkrótce ma wrócić z podróży po Europie. Twoja przyszła wychowanica, to dziecko trochę dziwne, nie podobne do zwykłych dzieci. Zasta-

---

*) Wytłómaczę ci późniéj to imię włoskie.

nowi cię jéj powierzchowność, i piękne włosy słowiańskie, koloru naszéj przenicy, przy czarnych oczach Włoszki.

Jest to, jak ci mówiłam, córka starszego syna naszych hrabiostwa, hrabiego Romana P. i... nie wiem czyja. Hrabia Roman przebywał kilka lat we Florencyi i tam umarł. Nie słyszeliśmy, żeby był żonaty przedtém, aż gdy po śmierci syna, hrabia P. pojechał do Włoch, i wrócił z małém dzieckiem, które przedstawiał jako swoją wnuczkę. Pokazuje się więc, że hrabia Roman był się ożenił potajemnie, ale wątpię bardzo, żeby z jaką *Corsini* albo *Piombino*, gdyż w takim razie wiedzielibyśmy o tém z pewnością, gdy przeciwnie nikt tu nie zna panieńskiego nazwiska matki małéj Dolorosy, ani téż żadnych o niéj szczegółów.

Masz tu więc trochę wiadomości o rodzinie, któréj cię zaleciłam. Jak przedstawiłam im ciebie, to już do mnie należy. Powiem ci tylko, że byłam ci nieposłuszną w pewnym względzie, bo nie uszanowałam zakazu twego co do wyjawienia twojéj przeszłości. Rozumiem cię doskonale, wiem, że nie dla tego, żebyś wstydziła się pracy, bo o to mniéj ciebie, niż kogokolwiek w świecie posądzić można; ale, że nie chcesz po pierwsze: doświadczać natrętnéj i niedelikatnéj ludzkiéj litości, powtóre: nie chcesz ze swego heroizmu (pozwól mi to nazwać według mego sposobu widzenia rzeczy), robić popisu. Ja chciałam tylko postawić cię odrazu na właściwém tobie miejscu.

Powiedziałam więc hrabinie, że urodzenie twoje i przeszłość cała stawią cię w wyższém towarzystwie, tylko wygórowana skrupulatność i szlachetność twego charakteru zmuszają cię do podrzędnego stanowiska guwernantki. Zaciekawione towarzystwo Brzóz zaczęło mnie skwapliwie wypytywać o ciebie. Czy ładna? spytała nawiasem hrabina.

Odpowiedziałam: że cię Bóg obdarzył niepospolitą pięknością (czy wiesz o tém, przypadkiem?) Na co hrabina okazała się trochę niespokojną.

Niech się pani hrabina nie obawia, powiedziałam — téj niepotrzebnéj w nauczycielce piękności; żaden koczkodon w świecie nie może być mniéj próżny i bardziéj skromny, jak moja śliczna przyjaciółka. Wykształcenie serca jéj i umysłu, nie mniéj niepospolite jak powierzchowność, ochroniły ją widać od próżności.

Kończę już na tém, bo boję się bury od ciebie.

Przyjm uścisk serdeczny

*Zofii M...*

(Ciąg d. nast.)

# OBRAZY I OBRAZKI
## z tatrzańskiej wycieczki.

(Ciąg dalszy.)

Ruszyliśmy wzdłuż brzegów Wielkiego-Stawu, którego obszerność (według najnowszych obliczeń ma być większy jeszcze od Morskiego-Oka) w rozpacz wprawiała Bolka i Ksawerka.

— Ależ to zaczarowany staw, idziemy, idziemy, a drogi nic nam nie ubywa.

— A to co? — kozy czy ludzie? — odezwał się Dezydery, przykładając rękę do czoła i patrząc na prawo w drogę Krzyżnéj.

Spojrzeliśmy i my w tę stronę, ale z początku nic a nic dojrzeć nie mogliśmy; dopiero po uważniejszém wpatrzeniu się dostrzegliśmy, że wśród piorgów (rozsypisk) coś się poruszało, ale coś tak małego, drobnego, iż się zdawało, że się kamyki obruszyły i zsuwają ku nam. — W pół godziny potém mogliśmy już rozeznać kształty ludzkie i kolor sukien czarny i brunatny.

— To ksiądz Janota z przewodnikiem Walą — odezwał się Marjan — o! patrzcie, Wala niesie w ręce coś długiego, szklącego, pewnie barometr i termometr. — Mój Boże, szczęśliwiéj z tém wyszedł niż ja z moją gdańskówką.

Rzeczywiście zsuwający się z gór człowiek, był to ksiądz Janota, którego nazwisko zrosło się prawie z temi górami i tatrzańskim ludem. Nie ma górala w Zakopanem, Chochołowie i daléj, któryby nie znał tego nazwiska, a zwiedzający Tatry, nieraz musieli spotykać go zbierającego zioła, spinającego się na szczyty z barometrem w ręku mierzącego ciepłotę strumieni i ich naturę. Od wielu lat profesor ten poświęca chwile wolne od zatrudnień badaniu tatrzańskiéj przyrody, opiekowaniu się moralną stroną ludu i szerzeniem wśród nich oświaty. Odkąd ksiądz Janota i profesor Studziński poczęli nawiedzać te okolice — szkoły krakowskie mają co rok po kilku lub kilkunastu uczniów z tych stron, a góry tatrzańskie więcéj kóz. Ksiądz Janota bowiem widząc jak srodze tępiono te nadobne zwierzątka, jak je znacznie przerzedzono, wziął je pod swoją wyłączną opiekę, odradza góralom zabijanie ich i nawet na wiatr strzelać im nie pozwala w stronach, w których przebywają kozy, by ich nie spłoszyć i nie przepędzać na węgierską stronę.

Pospieszyliśmy na powitanie Szanownego Księdza i wraz z nim szliśmy ku krzakom kosodrzewiny, by pod ich cieniem schronić się przed upałem, który nam dokuczał. Pod kosodrzewinami zastaliśmy już profesora uniwersytetu krakowskiego p. Nowickiego, który przybył tu dla obserwowania owadów i w ogóle dla zoologicznych spostrzeżeń. — Usiedliśmy przy nim, przypatrując się owocowi jego dzisiejszych poszukiwań, gdy

naraz Bolek, który od nas trochę dalej pobiegł i z jednéj skały patrzał w wąwóz Roztoki, zawołał nagle:

— Panowie! widzę już woalkę panny Pauliny, cioci; ale żadnego nie mają ze sobą koszyka.

IV.

Kto widział wspaniałe wodospady pod Szafhuzą i Niagary, ten obojętnie przeszedłby zapewne koło Siklawy, która wprawdzie z wysokości kilku pięter rzuca się w przepaść; ale z powodu małéj ilości wody nie może zrobić wielkiego wrażenia. Spieniona jéj woda, szczególniéj w suche lata, nie ma przy spadaniu siły odskoku i łukowego wygięcia, ale wązkim pasem ześlizguje się po wilgotnych i gładkich ścianach. Dla tych jednak, co nigdy podobnych, gwałtownych spadków wody nie widzieli i Siklawa wystarczyć może i nie jedno a! a! a! wywoła z ich piersi, zwłaszcza, że wodospad ten przy swojéj małości ma wiele siły i dzikości, która widzowi imponuje. Zagraniczne wodospady toczą się wspaniale, pompatycznie, z całym orszakiem efektów, jakie sprawia światło i woda; tutaj zaś rzeka bez tych wszystkich przypraw i ozdób jakby rozebrana z przejrzystych tiulów i delikatnych koronek — naga — rzuca się z góry na łeb, jak samobójca w skalistą przepaść. Na obrazach Dantejskiego piekła Dorego spotykamy podobne rzuty i ruchy, — Człowiek stojący u spodu téj kaskady nie tyle podziwia, ile trwoży się. — To też rzadko mi się zdarzało w gronie osób stojących pod wodospadem słyszeć wesołe śmiechy i rozmowy; zwykle ponury jego i dziki szum do poważniejszych usposabia zamyśleń.

W takiém poważném zamyśleniu znalazłem pannę Paulinę, która wyprzedziwszy resztę swego towarzystwa, idącego powoli wąwozem Roztoki, pierwsza stanęła u stóp wodospadu. Szum spadającéj wody zagłuszył moje kroki tak, że niepostrzeżenie stanąłem tuż obok niéj. Siedziała na omszonym złomie obrosłym paprociami, twarz silnie rozrumienioną od umęczenia podniosła w górę i z rodzajem dziecinnego przestrachu patrzała na strumień lecącéj jakby wprost na nią. — Przerwałem to zapatrzenie, rzucając na jéj kolana szafirową gentianę. Spojrzała zdziwiona na kwiat, potém obejrzała się i spytała:

— A to skąd? —

— Rusałki tatrzańskie przysyłają przezemnie ten kwiat siostrzyczce swojéj.

— A ja wyrzekam się tego niezaszczytnego pokrewieństwa i kwiat odrzucam w odmęty.

To mówiąc, rzuciła kwiat w głębię wody kipiącéj, bałwaniącéj się od ciągłych uderzeń wodospadu. — Wiry porwały kwiat w swe demoniczne objęcia i zanurzyły w lejkowatéj przepaści. — Paulince żal się zrobiło za kwiatkiem i rzekła: szkoda.

— Może pani życzysz sobie, bym jak rycerz ballady Szyllera rzucił się za nim?

— A gdybym też chciała?... rzekła i zawisła oczami na méj twarzy.

— Wtedy wysłałbym najprzód mego inżyniera dla zbadania miejscowości — odrzekłem ze śmiechem i wziąwszy jeden z dość dużych kamieni, rzuciłem go w wiry. Woda chlusnęła do góry wysoko, kamień jak nurek poszedł na dno; stłumione uderzenie jego o skały kilkakrotnie słyszeć się dało.

— O nie chcę, nie chcę — rzekła Paulinka z przestrachem cofając się — a jak tam głęboko?

— Dobrze, że pan przyszedłeś, rzekła po chwili, jakoś straszno mi było tak saméj wśród tego głuszącego szumu wody i tego gwałtownego jéj pędu. Wiesz pan co — spodziewałam się wspanialszych rzeczy, ale nie tak dzikich. To bezustanne rzucanie się wody w przepaść, ma w sobie coś z nieśmiertelnych mąk potępieńców. Fantazja ludu nie mogła tego miejsca zostawić bez legendy jakiejś okropnéj.

— Nie znam żadnéj, któraby się do tych miejsc odnosiła, ale jest inny wodospad w Strążyskach, koło którego ciekawą opowieść pomieściła tradycja. Wodospad ów jest o wiele mniejszy od tego i zwie się Siklawką. Spada w dwóch kondygnacjach jak biały ręcznik spuszczony na wilgotną skałę obrosłą całkiem ciemnozielonym mchem. — Otóż w téj skale w wysokości dwóch ludzi tuż obok spadającéj kaskady jest otwór, który ona w czasie większych deszczów całkiem zasłania. Tam według podania ludu miały być przechowane skarby zbójników, którzy w skutek niespodziewanego napadu rozproszyli się potém po świecie. Jeden z tych zbójów został złapany na Węgrzech, tam uwięziony i kołem łamany. Przed śmiercią jednak powierzył dwom towarzyszom więziennym tajemnicę o ukrytych skarbach. Ci skoro zostali uwolnieni, poszli prosto do Zakopanego i tam wypytywali karczmarza o miejscowość wskazaną im przez zbójcę. — Karczmarz zmiarkował, że to o coś ważnego idzie, i umyślnie wskazał przybyszom mylną drogę do Białego (nazwana polany), a sam co prędzéj pchnął syna swego w ono miejsce, o które go rozpytywano — i syn wrócił późno w noc obciążony skarbami, jakie znalazł w dziurze koło wodospadu. Część tych skarbów odłożył na pobożne wota i wybudował za nie ową białą kapliczkę, którą pani widziałaś koło zakopańskiego kościoła — a resztę schował. Raz tylko, gdy szedł na wesele jakiejś swojéj krewniaczki, naruszył onego skarbu i wziął z niego kilka talarów, aby (jak jest zwyczaj u tutejszego ludu) rzucić jéj niby wiano lub ślubny podarunek owe pieniądze. Odtąd (jak powiada legenda) wzięła go chorość, kwękał i męczył się długo — aż umarł nie powiedziawszy nikomu o tych pieniądzach.

— Piękna legenda — rzekła Paulinka — ale zdaje mi się, że już gdzieś coś podobnego słyszałem. W têm co mi mówiono, były także wzmianki o zbójcach, zachowanych skarbach, o Węgrach, tylko tam pieniądze skryto w świerku, który potêm piorun spalił i skarby zniszczył.

— Bardzo być może, że jest kilka odmian téj tradyci, ale we wszystkich jest jeden punkt wyjścia, co poczęści przemawia za jéj prawdziwością. W tradycyi téj lud zawarl także swoją część wiary i filozofii życia i pokazal, że pieniądz źle nabyty, nikomu szczęścia przynieść nie może. — Czego pani tak dziwnie patrzy na mnie?

— Bo pan mówisz tak poważnie jak z katedry. Pierwszy raz widzę pana w tym charakterze. Co się panu stało? —

— Jeżeli mam być szczerym, to pani powiem, że temu winien zbyt ścisły post, jaki zachowywaliśmy w górach. Głód usposabia człowieka na serjo.

— Czy wolno wiedzieć na jaką intencją pościliście panowie?

— Zmuszasz mnie pani do komplementu, że na intencją zobaczenia pani; tymczasem w rzeczywistości ma się rzecz tak, żeśmy pościli, bo nie było co jeść.

W téj chwili zbliżył się do nas profesor i gładząc poważnie brodę, odezwał się do Paulinki:

— Jakże się pani podobają te cuda, które Opatrzność tak hojną ręką rozrzuciła wśród tych niebotycznych gór?

— Oho! po stylu uważam, że i pan musisz być także okropnie głodny.

Profesor zrobił duże oczy nie rozumiejąc uwagi.

— Ale głodny, głodny, ja ręczę za niego — odezwał się Bolek — bo choć na puszczy karmił się manną morałów, to pewny jestem, że równie jak ja niecierpliwie oczekuje chwili, która go połączy węzłem małżeńskim z pieczenią.

— Żałuję panów, że związek ten dla nieprzewidzianych przeszkód nie prędko przyjdzie do skutku.

— Pani nas przerażasz — jakto? —

— A tak. Trzeba było wcześniéj się oświadczyć, tobyśmy oczekiwaną przyprowadzili tutaj.

— Więc została?

— W koszyku na wózku koło Morskiego-Oka; nie prędzéj jak za...

Dalsze jéj słowa przerwał serdeczny śmiech, powodem tego był Ksawerek, który właśnie wyszedł z za skały i ujrzawszy Paulinę, przybrał ruchy eleganckie, salonowe, które komicznie wyglądały przy potarganém czarném ubraniu i ogromnych kerpcach, na których się suwał jak na saniach. Jedynie białe, stojące kołnierze ratowały go w oczach opinii. Długo Paulinka nie mogła się opamiętać w serdecznym śmiechu. — Ksawerek uczuł się têm obrażony.

— Daruj pan — odezwało się wesołe dziewczę, spostrzegłszy marsa na jego czole — daruj pan, ale trudno się nie śmieć, pan wyglądasz jak straszydło w zbożu.

— A co, nie mówiłem ci, że się wystawię na śmieszność — rzekł do mnie po cichu zmartwiony Ksawerek — ja téj hańby nie przeżyję.

— A cóż zrobisz?

— Pójdę naprzód, siadam na jeden z wózków czekających nas przy Roztoce i wracam do domu.

Rozśmiałem się z tego praktycznego samobójstwa.

— Ale gdzież ciocia pani? — spytałem, nie widząc przez tak długi czas reszty towarzystwa.

— O! ci państwo wleką się jak żółwie — odrzekła. Mamy w towarzystwie naszém jakiegoś dobrze żywionego kanonika, który się strasznie męczy i co chwila odpoczywa, czerpiąc sił do dalszéj podróży w winie, które służący za nim niesie. — O! patrz pan — już widać parasolkę cioci i słomiany kapelusz kanonika.

— A, za niemi jest jeszcze jakieś towarzystwo.

— Jest to znakomita kollekcja karykatur. Jakaś uczona panna przyjechała tutaj z notiskami po natchnienie, co chwila staje, notuje i unosi się nad pięknością przyrody — mama i papa unoszą się nad genialną córką, a jakiś młody człowiek pół bigot, a pół doktór, widocznie aspirant do ręki panny, jest żywém zwierciadłem ich wrażeń i zachwytów. Panu się bardzo przydadzą te typy. Ale Boże, jaka ja niepoczciwa — tak obgaduję tych państwa. Na młodą panienkę to trochę nie ładnie, prawda panie?

— Pani ze wszystkiém ładnie. Zresztą wina tu większa po stronie tych państwa.

Umilknąłem, bo właśnie nadeszło całe towarzystwo i wśród głośnego szumu kaskady słychać było pojedyńcze wykrzykniki zachwytu i podziwu.

— To cudo natury — zawołał kanonik ocierając fałdowaty kark czerwoną chustką — doprawdy to warto oblać. Łukasz, podaj koszyk. — Cudo powiadam, człowiek się mospanie dobrodzieju zestarzeje, ołysieje i osiwieje (kanonik był łysy i siwy) i pewno już coś podobnego nie zobaczy. — Do pana, panie prezesie.

— Prześliczne, przecudne — zawyrokowała prezesówna i dobywszy coprędzéj notatek, szybko tańcowała po nich ołówkiem, rzucając chwilowe, przelotne spojrzenie na góry i wodę. Była to panna wysoka, korpulentna, z szafirowemi okularami, w pasterce o ogromnych skrzydłach, w sukni popielatéj w pasy, na czerwonéj halce. — Obok niéj siedziała mama chuda, mała, zawiędła brunetka, w czarném obwisłém ubraniu, które ją (przepraszam za porównanie (robiło podobną do zmokléj wrony). Ktoby się gorszył têm porównaniem, niech je zastąpi trafniejszém lub estetyczniejszém, bo mnie na razie żadne inne na myśl nie przyszło). Pani prezesowa siedząc na kamieniu patrzała z dumą na piszącą

córkę i od czasu do czasu poprawiała jéj toaletę, która (między nami mówiąc) bardzo poprawek potrzebowała. Za temi paniami stał bigot-doktór — konkurent ze skrzywioną główką, dźwigający stosy szalów, okryć i torbeczek.

— No, panie prezesie dla ochłodzenia — animował kanonik powtarzając kolejkę.

Kolosalna figura pana prezesa przegięła się w ukłonie i sięgnęła po lampeczkę.

— Janie! zawołała prezesina; prezes cofnął rękę, jak posłuszny sztubak.

— Ależ pani prezesowo dobrodziejko — prosił kanonik — lampeczka nie zaszkodzi. To mówiac, mucnął żyłastą rączkę magnifiki. — No jakże?

— Cóż mam robić, wy mężczyźni zawsze zrobicie z nami co chcecie. Ja powiadam, że ci mężczyźni to są dla nas prawdziwi tyrani.

— No, widzisz moja duszko — wtrącił prezes, chcąc także coś powiedzieć.

— Janie! przerwała mu magnifika — proszę mi nie przerywać. O czémże to mówiłam?

— Że my jesteśmy ty...

— Janie, proszę cię, nie przerywaj mi; zbyt nadużywasz mojéj uległości.

— A możeby tu i przekąsić coś warto — zauważył kanonik.

— Jak tam panowie uradzicie — odrzekła potulnie prezesowa.

— Jabym myślał moja du...

— Nikt cię tu o to nie pyta, mój drogi. Chcesz wszystkich tyranizować, tak jak mnie tyranizujesz.

— Ależ moja du...

— Cicho — przeszkadzasz Felci.

— Wiesz ty co — szepnął do mnie Bolek — ja niewytrzymam, jak pieczeń dostaną — rzucę się na nią.

— Wypadałoby przecież przed takim napadem przedstawić się temu państwu.

— Więc chodźmy.

— Skończyłam! — zawołała Felcia triumfująco wstając.

— No, no, no — słuchamy — odezwał się papa nadstawiając ucha z zajęciem.

Felcię nie żenowała wcale nasza obecność i poczęła czytać współzawodnicząc głosem z szumem potoku:

„Wśród niebotycznych skał na łonie dzikiéj, tatrzańskiéj przyrody spieniona rzéka rzuca swe śnieżyste wstęgi“.

Umilkła; — mama z powagą przystąpiła ku natchnionéj córce i pocałowała ją w czoło; ojciec milczał jeszcze z nadstawionym uchem, spodziewając się czegoś więcéj; gdy się spostrzegł, że nic więcéj nie usłyszy, plasnął w dłonie.

— Brawo, brawo, jak Boga kocham arcydzieło. — To mi panie talent — rzekł, zwracając się do kanonika — ja stary, a przyznam się panu dobrodziejowi, że jabym tego nie potrafił. Bo to panie kilkoma słowami wszystko ci powie, jakbyś tam był — i malarza nie potrzeba. Jak ona to mosterdzieju ślicznie powiedziała: niebotyczne góry — a rzeczywiście są niebotyczne, bo patrzaj księże kanoniku — o! wyraźnie jakby dotykały nieba. Albo ta śnieżysta wstęga — to panie dobrodzieju genialne.

— Powinszować państwu takiéj pociechy — rzekł ksiądz kanonik ściskając dłonie prezesa. No państwo, nie podobna nie wypić zdrowia tak znakomitéj pracowniczki na niwie naszéj ojczystéj literatury. Zdrowie tedy panny Felicyi — w pańskie ręce, panie prezesie.

Prezes spojrzał na żonę.

— Jakto, nie wypijesz zdrowia twojego jedynego dziecka? ofuknęła go prezesowa.

Prezes lampkę duszkiem wychylił i puścił ją w kolej. Nawet pani prezesina wypiła kilka kropel zdrowia swojéj genialnéj jedynaczki.

— Zdrowie szanownéj mamy — zaintonował znown kanonik i dotknął ustami najprzód rączki prezesowéj, potém lampeczki. Mama spuściła skromnie oczy i dziękowała.

— W twoje ręce prezesie.

Prezes z lampką w ręce przystąpił do swéj połowicy i w dowód afektu chciał ją uścisnąć.

— Janie! jesteś nieprzyzwoity — impertynent.

— Ależ moja...

— Pij.

Prezes nie dał sobie rozkazu powtórzyć.

— No, a teraz twoje zdrowie, szanowny prezesie dobrodzieju.

Naturalną było rzeczą, że prezes dziękować musiał i na podziękowanie wychylił znowu lampkę duszkiem. Ale naraz poczerwieniał mocno, zabełkotał coś niewyraźnie i przewrócił się na ziemię.

Mama i córka wydały okrzyk trwogi.

— Ratuj go doktorze — zawołały w duecie. Doktór począł się co tchu uwalniać z szalów, dobył się do torbeczki i wśród paczek cukrów i książek do nabożeństwa szukał zakłopotany instrumentów. Widząc to Bolek, który był kandydatem medycyny, dobył szybko lanceta, poskoczył do prezesa, rozdarł rękaw i puścił krew. Prezes odetchnął nieco.

— No, chwała Najwyższemu, uratowany — rzekł doktór zbliżając się i składając ręce jakby do modlitwy.

— Sądzisz pan, że już niebezpieczeństwo minęło? spytałem zaniepokojony na serjo o prezesa.

— Wszystko to w mocy bożéj.

— Ale ja nie o moc bożą pytam; tylko o zdanie doktora.

— Cóż doktór pomoże wobec wyroków opatrzności.

— Czy pan wszystkich chorych tą receptą leczysz?
Doktór uczuł się obrażonym tém zapytaniem i odwrócił się odemnie.

— Cóżeś mu pan tak pieprznego powiedział? spytał Loluś przysuwając się do mnie. To mój znajomy panie; ale wiesz pan, że to był największy osioł w uniwersytecie.

— W takim razie nie dziwię się, że teologję łata nędzną swoją medycyną.

— Wiesz pan co, chwat z ciebie — odezwał się kanonik podając rękę Bolkowi — znalazłeś się energicznie jak miło. Pozwól, że wypiję twoje zdrowie. Do Ciebie.

— Czy i kanonik chce zostać moim pacjentem?

— Ho, ho, ho, nie bój się pan — ja stary ćwik. A tamten, między nami mówiąc — szepnął nachylając się do ucha Bolka — to fryc jeszcze, djabelny fryc. No, do ciebie panie medyku, pij pan do kolegów, bo to zapewne Szanowni Koledzy.

Tu nastąpiły ukłony.

— No pij; dalibóg nie zaszkodzi — wytrawne winko.

Bolek uśmiechnął się i wypił do Marjana.

— Masz — rzekł nalewając — ksiądz kanonik mówi, że ci wytrawi.

— A cóż będzie trawić, chyba mnie samego — szepnął nieszczęśliwy Marjan — i wlał na czczy żołądek wytrawne wino.

Paulinka, która znała tajemnicę naszych żołądków śmiać się poczęła. Felcia stała zamyślona nad ojcem, jakby komponowała odę nad jego nieszczęściem, czekaliśmy, rychło otworzy notatki.

Spytano doktora o zdanie, czy pan prezes, który tymczasem zupełnie przyszedł do siebie, może dalszą drogę odbywać. Doktór zaczął się bawić we frazesy, z których żadnego sensu dobyć nie można było; dopiero energiczny Bolek wdał się w tę sprawę i rozporządził, aby dwóch przewodników zaniosło prezesa na dół do wózków, gdzie miał wypocząć, a doktora wykomenderował do eskportowania chorego i niesienia mu w danym razie pomocy. Nie rad był z tego, charakter doktora pozbawił go teraz rozkoszy konkurenta. Odchodząc, co chwila oczy jak słonecznik obracał na Felcię, która jednak zagłębiona w notaty, nic z tego wszystkiego nie uważała. — Prezes również wzrokiem w pół przygasłym od wina i choroby patrzał na swoją małżonkę jak słońce zachodzące, jakby się z nią żegnał na wieki.

— No, no, Janie odwagi — wszakże jesteś mężczyzną. Niezadługo zobaczymy się znowu tam.

— Gdzie? — spytał żałośnie prezes patrząc w górę.

— W karczmie Bukowińskiéj, gdzie pan dobrodziej wypoczniesz sobie wygodnie — rzekł Bolek.

Dał znak ręką — kondukt ruszył — Felcia odprowadzała go oczami. Doktór tę czułość na swoją korzyś wytłómaczył i co chwila zwracał się w tył powiewając białą chustką.

— Mamo, uważa mama, jak to dziwne ma podobieństwo do jakiejś sceny bojowéj, gdy rannego z pola walki unoszą.

— Prawda, prawda!

Felcia w obawie, by poetyczne porównanie nie uciekło, uwięziła je w téj chwili na papier.

— A co panie — szepnęła do mnie Paulinka, gdyśmy już szli pod górę — masz pan współzawodniczkę do laurowego wieńca.

— Czy mogę pani służyć — odezwał się profesór, podając poważnie ramię Paulince.

— O dziękuję ślicznie. Zanadto pamiętam Gubałówkę, bym się panu odważyła powierzyć na tę ścieżkę, która wiedzie nad tak straszną przepaścią.

— Widzi pani, że i mam a współzawodników — szepnąłem ja znowu.

— A ja czy mogę podać pani rękę?

— Pod warunkiem, że pan zapomnisz o poezyi i patrzeć będziesz więcej po ziemi, jak po niebie. — Oho! ptak jakiś, patrz pan, jak to mile wygląda wśród téj dzikiéj natury, w któréj wszelkie życie ustaje — ta ptaszyna trzepocąca skrzydełkami. — Śliczny, popielaty ptaszek, różowo ubarwiony po bokach.

— Jest to jedyny mieszkaniec tych stron, pustelnik tatrzański, zwie się pomurnik.

— Więc pan i ornitolog?

— W Tatrach tak ubogich w ptastwo, można się w niego zabawić.

Wychodziliśmy właśnie z wąwozu, który leży pomiędzy dzikim i w nierówne szczerby poszarpanym Wołoszynem a Opaloną, górę tak nazwaną zapewne od zżółkłéj śliskiéj trawy, którą jéj bok cały jest pokryty Stokiem téj góry ciągnie się nad przepaścią ścieżka, która nas miała zaprowadzić przez Świstówkę do kotliny Morskiego-Oka.

Rozumie się, że grzeczność Ksawerka nakazywała oddać się całkiem na usługi pań w téj trochę trudnéj przeprawie, która dla ludzi cierpiących zawrot głowy, lub nieprzyzwyczajonych do takich wysokości, dość nawet może być niebezpieczną. Zdaje się człowiekowi idącemu tak stokiem góry po wąskiéj ścieżce, że go góra jak macocha odpycha i chce zrzucić w przepaść. Profesor więc podał rękę cioci, pani prezesina uwiesiła się u ręki Dezyderego, a Marjan prowadził natchnioną Felicję.

Z grzbietu Świstówki raz jeszcze spojrzeliśmy na szeroką, kamienistą dolinę pięciu stawów, na trzy ciemno-zielone jeziora, na wodospad Siklawy, który ztąd jak biała niteczka się wydawał; potém wzrok nasz wybiegł na Nowotargską dolinę, którą ztąd widno jak we mgle.

Już mieliśmy się spuszczać na dół, gdy naraz usłyszałem za sobą głos panny Felicyi.

— Jakto, ten? ten? — co idzie przed nami?

— Tak — on sam.

— Czy pan słyszy — spytała mnie ze śmiechem Paulinka — pan Marjan wydał pana.

Jeszcze nie wiedziałem co na to odpowiedzieć, gdy panna Felicja podając mi rękę — rzekła:

— Bardzo się cieszę z poznania pana. Czytałam wiele bardzo rzeczy pańskich i bardzo mi się podobały, tylko za mało w nich serca — uczucia. W tém nam nie dorównacie. — Mamo, to jest pan A. B. C. Pan musiałeś tutaj wiele napisać: niepodobna wśród tylu wrażeń zostać obojętnym. Ja jestem cała porwana, oczarowana tą pięknością i tylko to mnie martwi, że nieudolne pióro nie zdoła oddać tych wszystkich piękności, tak hojnie ręką natury tutaj rozrzuconych. Jak naprzykład oddać w słowach tę posępność milczących jeziór, tak martwych, jak umarłych oczy. — Umarłych oczy — widzisz pan, chwila natchnienia przyniosła mi porównanie, nad którém przedtém nadaremno pracowała moja wyobraźnia. Czekaj pan, zanotuję je sobie.

— A to lawina słów — szepnąłem do Paulinki.

— Pokrewne duchy spotkały się na szczytach gór — mówiło wesołe dziewczę, chichotając po cichu.

— Ma jednak jednę zaletę, o którą tak rzadko u piszących kobiet.

— Jaką?

— Że jest młodą i nie brzydką.

— A pan nic nie notujesz? spytała mnie znowu Felcia. — To bardzo źle, notatki są tém dla poety, czém szkic dla malarza. Najdrobniejszy przedmiot potrąca często o całe morze myśli. Patrz pan — ta biała kość leżąca wśród trawy, na jakież myśli nie naprowadza ona natchnioną duszę, kto wie, jakiéj strasznéj katastrofy ona jest kamieniem grobowym. Nietylko piaski huraganów Afrykańskich mają swoje okropne tajemnice — wrogie wiatry tatrzańskie i zimna pewnie także szkieletami umią znaczyć swoje drogi.

Może to kość dzieciny, któréj matka boleśnie
Łamie ręce z rozpaczy, łzą zalewa się we śnie —
Może —

Poezję przerwał głośny płacz prezesiny, którą słowa córki do łez pobudziły.

— Jakie to serce ma ta dziewczyna — odezwała się mama do prowadzącego ją Dezyderego. Lada robaczek na drodze ją roztkliwi, lada kwiatek zwiędły łzy wyciska.

Może — mówiła daléj córka —
Może ta kostka biała w kłach dzikiego zwierza —

— Chcecie wiedzieć zkąd ta kość? przerwał naiwnie przewodnik — to z cielęciny, proszę pani, którą tu jadło państwo dwa tydnie temu.

Natchniona dziewica odwróciła się spiesznie w inną stronę, a mama ukradkiem wycierała resztę łez, jakie uroniła nad zjedzoną pieczenią.

— Egzaltowana — rzekła do mnie ciocia, która wobec tak krzywego zwierciadła egzaltacyi, sama ochłódła trochę i z umiarkowaniem godzić się poczynała. — Niezadługo całe nasze towarzystwo zamilkło, każdy bowiem spuszczając się po śliskiéj trawie na dół, miał całą uwagę na to zwróconą, by się nie pośliznąć i nie pociągnąć za sobą na tę niebezpieczną szlichtadę damy, którą prowadził.

W godzinkę potém stanęliśmy już przy Morskiém-Oku. — Panie stanąwszy na brzegu unosiły się nad pięknością i wspaniałością widoku; my zaś, którym głód porządnie dał się we znaki, zatrzymaliśmy się przy wózkach i w oka mgnieniu rozgospodarowali się w zapasach cioci i Paulinki. Było to homeryczne pożywanie, a raczéj pożeranie. (C. d. n.)

---

# POEZJA *).

(Z ALEKSANDRA PETOEFIEGO.)

Poezjo! jakżeś nisko upadła, o święta!
Jak na świecie twa wielkość fałszywie pojęta! —
Ci właśnie, co cię wynieść do szczytu pragnęli,
W proch cię z twéj wysokości szaleni zepchnęli.

Nie pomazani z Boga uczyli kapłani,
Żeś salonem, na który wstęp mają wybrani —
Żeś salonem bogaczów w przepychu błyszczącym,
Na który wchodzą tylko w obuwiu świecącém
Przyzwoici wielkiego świata manierzyści....
O! milczcie, milczcie kłamcy, kłamcy uroczyści,
Wy fałszywi prorocy, w prawdzie się kręcicie
Jak węgórz — wy poziomo pojmujecie życie.

Poezja to nie salon recepcyj zabawnych,
Ni pole żartów płochych albo kłamstw wytrawnych,
Na którémby się chwasty społeczeństwa zbiegły
Gmachu złego, węgielne układając cegły —
Poezja jest świątynią dla wszystkich otwartą,
Czy szczęśliwi, czy z bólu mają pierś rozdartą; —
Jak do Boga w nią wszyscy swoje modły niosą
I w łataném obuwiu biedacy — i boso. —

J. K. T. —

---

*) Wiersz ten odpowiada najwięcéj naturze wysokiego talentu Petoefiego. On to bez żadnego znaczenia i w obuwiu zdartém pewno w włóczęgach swych aktorskich, samém tylko natchnieniem wezwany, wstąpił w świątynię poezyi, i został jéj znakomitym kapłanem, nie tylko w węgierskiéj, ale i powszechnéj literaturze (P. T.)

# Moje pieśni.

(ALEKSANDRA PETOEFIEGO.)

Częstokroć w myślach utonę głęboko,
A nad czém myślę, i sam nie wiem prawie, —
Obrazy stron mych rodzinnych się włoką —
Lub się swobodny całym światem bawię.
Pieśni chwil takich, są to blade, płowe
Marzącéj duszy: *blaski księżycowe.*

Lecz gdy miast poddać się marzeniom, myślę
O mych kłopotach, które wciąż się mnożą,
I wszystkie troski rozważając ściśle,
Wreszcie się zdaję na Opatrzność Bożą; —
Piosenki, które śpiewam w owe chwile,
To lekkomyślnéj duszy méj: *motyle.*

Gdy ujrzę dziewczę świeże jako rosę,
To moje troski jeszcze głębiéj grzebię,
Z méj duszy w czar jéj oczów ogień niosę,
Jak gwiazda błyszcząc na mórz cichych niebie —
A pieśni, w których miłość swą wynurzę,
To zakochanéj duszy: *dzikie róże.*

A gdy mię kocha, to z radości piję,
A gdy nie kocha, to piję z rozpaczy —
Przy szklance wina wieńce szczęścia wiję,
I tam nikt moich cierpień nie zobaczy.
A pieśni, w których méj lubéj się wdzięczę,
To są pijanéj duszy mojéj: *tęcze.*

A kiedy widzę biesiadników koła,
Gdzie szklanki dźwięczą i wesołość płynie —
A tłum zgłodniałych u wrót łaski woła,
I wypędzony jęcząc z głodu ginie;
To pieśni moje natchnione tym sromem,
Są rozgniewanéj duszy mojéj: *gromem.*

A kiedy widzę falsze i oszczerstwa,
Obłudy maską w słodki śmiech zaklęte,
Albo frymarki z biednych, i bluźnierstwa
Raniące serca z boleści pęknięte...
Ciskam w twarz wszystkim podłym rękawice:
To moich wściekłych pieśni: *błyskawice.*

*J. K. T.*

# W sprawie wychowania.

Doświadczenie zmysłowe jest jedyną gwarancją prawdy naukowéj. Jest to pewnik niezbity dzisiaj i przyjęty; a że jest sam przez się prosty i konieczny dla każdego zdrowego rozsądku, jak niemniéj już przez Bakona filozoficznie uzasadniony, dziwić się trzeba, że tak często w dziejach rozwoju nauk widzimy dalekie odbieżenie z téj drogi. A zmylenie téj naturalnéj kolei badań pociąga za sobą dalszy błąd, zapomnienie téj prawdy, że nauczanie niczém innem nie jest, jak umiejętną pomocą w badaniu (choćby i dokładnie zbadanych rzeczy). Broszura „o reformie w wykładaniu dziejów na podstawie indukcyi — przez St. *Zarańskiego* nawraca ku téj właśnie przepomnianéj prawdzie i przeprowadza ją na najoderwańszém przedmiocie badań — bo na historyi. Od rzeczy zmysłowych do oderwanych, od bliskich do dalszych, od znanych do nieznanych, od swojskich do obcych, toć to jedyna naturalna droga zdobywania wiadomości pozytywnych — jedyna droga badania, a więc i najwłaściwsza droga nauczania, szczególnie początkowego.

„Na co nam szukać zmudnych teoryj? na co uczo-„nych wywodów? na co czerpanych z głębin dydaktyki „metodycznych prawideł? skoro one tkwią w sercu „matki“ — w miłości dziecka, „owéj nieprzebranéj „krynicy sposobów nauczania.

„Opowiadajmy historję dzieciom instynk-„tem matki — sercem odgadła ona potrzeby dziecka „i zaspokoiła stosowną powiastką. Tryskające z ocząt „dziecka zadowolenie przekonało ją, że rzucone opo-„wiadaniem ziarno padło tam właśnie, gdzie powinno, „że zrozumianą została“.

Schwycił tu autor prawdę dydaktyczną niejako na gorącym uczynku, w chwili, gdy się ona najnaturalniéj z głębin praw ducha w życie wyłania.

Niniejsze téż dziełko, w którém autor jasno, dokładnie, bardzo przystępnie i ozdobnie całą metodę dziejów rozwija i dowodnie a wszechstronnie usprawiedliwia, jeśli dla nauczycieli i nauczycielek jest ogromnéj wagi pod względem naukowym, to odsyłamy również do niego wszystkie matki, gdyż dowiedzieć się tu mogą, jak swe opowieści dzieciom dobierać mają, celem nietylko prostego zadowolenia niezmordowanéj ich ciekawości, ale jak je dobierać, aby działając na potrzeby serca dziecięcia, zarazem umiejętnie rozpłomieniać w niém żądzę wiedzy — czyli jakim sposobem przebyć i zgubić granicę między zabawą a nauką.

Jakoby tę myśl ostatnią wziąwszy sobie autor za zadanie, wydal i drugie dziełko téj specjalnéj treści, a mianowicie:

*) „Historją elementarza“. Rzecz to niby na pozór tak maluczka, że zdziwienie ogarnia wielu, że się tém ktoś bawi. Co do nas, mamy to przekonanie, że w Elementarzu przyszłym i w jego układzie tkwi

*) Zarys dziejów nauki czytania w celu zawiązania dydaktyki narodowéj i reformy elementarza.

przyszłość, historja więc elementarza, to wielki rachunek sumienia z przeszłości.

W obydwóch dziełkach udowodnił nam autor, że właśnie nasze sumienie tu czyste; udowodnił, że wspomniana wyżéj droga indukcyjna jest cechą polskiéj naukowości i nauczania rodzimego, i że właśnie polscy myśliciele wyprzedzili w kwestyi elementarza świat cały, i elementarze Komisyi a szczególnie Izby Edukacyjnéj przewyższyły o wiele pod każdym względem wymysły mądrości niemieckiéj — i dziś tylko na tych zasadach elementarz odpowie potrzebom umysłowości naszego narodu. Dzisiejsze elementarze celując ku temu, aby niczyich nie naruszać przekonań, zyskały tyle, że żadnych młodemu pokoleniu nic dały. Wziąwszy za podstawę tylko względ loiczny, językowy — czyli gramatyczny — unikają wprawdzie wszystkiego drażliwszego, ale też odpłacają się sowicie wzwyczajeniem do indyferentyzmu i apatyi nie tylko do nauki, ale do wszystkich zadań obywatelskiego życia. Elementarz to zaszczepca wiedzy i moralności; gramatyka choćby najfilozoficzniejsza i najprzemyślniéj za podstawę użyta, nie opłaci się w umysłach dzieci ani wiedzą, ani moralnością, a tém mniéj charakterem.

Zdaje nam się, że autor pisząc tę historją, miał właśnie na myśli to, że przyszły elementarz jakkolwiek nie bez względów gramatycznych napisanym być winien, to nie może być napisanym bez charakteru, tj. bez odpowiedzi potrzebom dziecięcym a więc i ludzkim.

Przyroda w miniaturze, jako własność ludzi, przemysł jako praca; dzieje i moralność, jako inteligencja są wprawdzie kosmopolitycznemi czynnikami, które znaleść muszą odbicie w miniaturze takiego organonu mądrości, jakim jest elementarz; ale wszystkie te czynniki są tak różne, że u nas właściwego a różnego od innych charakteru odmówić im nie można.

Nie zastósować się do tego wyróżnienia się naszych odrębnych, narodowych czynników, do tych potrzeb właśnie naszych w téj mierze, byłoby to potknąć się na drodze reformy.

Nie mając miejsca na obszerny, umiejętny rozbiór tych książeczek, na jaki ze wszech miar zasługują, chcieliśmy tylko zwrócić na nie uwagę wszystkich zajmujących się praktycznem wychowaniem, a sądzimy też, że tak ludziom jak i instytucjom (Rada szkolna) mającym na pieczy kierunek i charakter ogólnego wychowania, przyszedł Szan. Autor bardzo w porę z swojemi pracami, odznaczającemi się specjalnem rozumieniem rzeczy i jasnym wykładem.

* * *

---

## NOTATKI,

(SZKIC Z PRZESZŁOŚCI).

Wpadły mi w ręce notatki pewnego szlachcica, spisane w kalendarzu — z roku 1863 i podzielam się z niemi, moje panie, abyście się trochę uśmiały; zapiski te nie wiele wprawdzie przynoszą zaszczytu dla płci piękněj — i w niekorzystném świetle przedstawiają nasze pra pra prababki — a znowu o naszych pra ojcach coś tu dowiedzieć się można, że owi groźni sarmaci bywali w domowém pożyciu obok swojéj jéjmości, jak trusie — i pokorne, a potulne służki. Jednak nikt się tém zapewne nie zgorszy — więc zaczynam:

*„Januarius. Die 1. In nomine Domini"*. — Wczoraj pan stolnik zmarł, a ja dziś żyw, a choć starszy— ano chwała Tobie Panie *in secula seculorum.*

2. Mój pałolik Janek, wielki warchoł, oblał mnie dziś rosołem, i żupan mój atłasowy na nic! — ale, że jéjmość za nim prosiła, więc dostał tylko burę.

3. Kara Boska! znowu mi dziś kobyłka srokata tak się rozbrykała w saniach, iżem jéjmość musiał wysadzić w śnieg — i o to była Sodoma i Gomora cały dzień.

4. Dziwnie mi téż dziś smakowała kura z sosem na jajach; ano szatan przyniósł na obiad pana Regenta — i odjadł mnie; — żarł, aże mu się ucha trzęsły.

5. Magdusia z dopuszczenia boskiego, tak się nam dziś rozchorowała, iżech musiał do Krakowa po cyrulika posłać. Matko Boża! uprosże mi u Syna Twego, aby to jedyne dziecko salwował.

6. Magdusia leży w gorączce, a jéjmość ledwo domu nie przewróci, tak zła, bo jéj się kędyś klucze od lamusa zadziały. A Chryste Panie, ratujże mię! Wieczór jak na licho, przyjechał ksiądz pleban z kolendą — i prawił oracje bardzo długie, a nic warte, jedno drugiego się nie trzymało, a tu dziewczątko chore płacze.

7. Magdusia mnie dziś pocałowała w rękę i mówiła, że jéj trocha lepiéj — upłakałem się z radości i zaraz pojechałem do kościoła — prosiłem o wotywę i całą przeklęczałem dziękując Panu Bogu. Za powrotem jéjmość klęła okrutnie, że się piwo ze śmietaną zwarzyło na śniadanie; ale choć byłem na czczo, prosiłem, aby się upamiętała; ale radż tam białogłowie, kiedy ją licho pre!

8. Magdusia wstała, dzięki Tobie Panie! Na obiad barszcz z wędzonką, był przydymiony, alem jadł, aby znowu jéjmość Maruszki drewnem nie zamalowała w grzbiet, jak ano w Wilię o onego karasia na oliwie, cobym się go był wyrzekł.

9. Ani człek zgadnie, co na niego spadnie: — ano dziś wstaję rano, odmawiam godzinki, aż tu wpada jéjmość z głownią rozpaloną i krzyczy, że jéj wałek od krosna wzięto do podpalenia w piecu, i każe mi

pójść i katować ludzi, wszystkie domowe, bo nie wiedziała kto; alem się też raz stawił, i rzekłem jéjmości: że nie! A ona: musisz stary! *et cetera...* źle! — jak też *impetuose* na nią huknę! uciekła jak trusia. — W wieczór po długich żalach i dąsach, „żem się tak teraz na nią srodze zawziął“ — spojrzała na mnie z łezką w oku — przybaczyłem ci sobie ano za raz, jak przed 26 laty, ta łezka mnie uradowała; takeśmy się pocałowali, i może też na jakiś czas będzie cyt“.

Na tém koniec notatek! a prawda, że wam żal, że poczciwy szlachcic nie pisał więcéj — choćby z miesiąc cały — takich notatek? Boć ciekawa rzecz, jakie mogły być dalsze *et cetera...* a ciekawa także, czy znajdują się dzisiaj jeszcze nieodrodne potomkinie Jehmości w podobnym guście. *Leśniowska.*

---

**Koncerta.** Zamknięte przez długi czas drzwi sali koncertowéj, otworzył p. Roger, były tenorzysta paryski. W epoce róż i słowików trudno to dosyć odwołać publiczność z zielonych, cienistych ogrodów, z odległych spacerów i wycieczek do miasta i uwięzić ją w gorącéj sali. Temu zapewne przypisać należy, że nawet sławne nazwisko i piękny program nie zdołały ściągnąć liczniejszéj publiczności, by mogła się delektować resztkami spadłemi ze stołu paryskiego świata. Głos byłego tenorzysty jest rzeczywiście już ruiną; ale ruiną wspaniałego głosu, który w niektórych chwilach szczęśliwszych przypomina sobie przeszłość. Są to jak ktoś dobrze się wyraził, piękne oczy u niemłodéj kobiety, która kiedyś była piękną. Szczególniéj tam, gdzie nie tyle głos, spiew, ile deklamacja na pierwszym jest planie — p. Roger może jeszcze zachwycić i porwać. Toteż „Erlkönig“ i „Soldateska“ z oklaskami przyjęte były. Panu Rogerowi towarzyszył p. Marek pianista, uczeń Mikulego. Z kilku wykonanych przez niego utworów (a były to przeważnie utwory Chopina), mogliśmy poznać jeżeli nie wszechstronność jego talentu, to przynajmniéj właściwość gry, która jest sumienna i uczuciowa, może nawet za mało lekka do tęczowych, pajęczych utworów Chopina, za mało efektowna, jak na koncertowy występ — ale nie przechodzi mimo uszów słuchacza bez głębszego wrażenia, co zdaje nam się, jest najgłówniejszym celem gry.

Liczniejszy stosunkowo był koncert p. Guniewicza, dyrektora „Muzy“, który i teraz dość znaczną część wieczoru dla swoich utworów zadzierżawił. Nie mamy wcale za złe panu G., że mu się tak jego własne utwory podobają; jest to pewna przyjemność słyszeć na własnym koncercie utwory, których się zresztą na żadnym innym nie słyszy; ale, jeżeli koncert ma także zgromadzonéj publiczności jaką taką przyjemność sprawić — to w takim razie zdaje nam się, p. G. nie dopiął celu. — Jedynie orzeźwiającą oazą koncertu była Serenada Gounoda (trio), w któréj utalentowany skrzypek Lipa nie grał, ale raczéj śpiewał na strunach — jako też gra pani Ż. bardzo wdzięczna. Należałoby tu jeszcze co powiedzieć o włoskich śpiewakach, mających udział w koncercie, o których afisze głosiły, że się na ten wieczór zatrzymali w przejeździe z Medjolanu do Petersburga. Trudno zaprzeczyć, że ci państwo nie byli w Medjolanie, a nawet w teatrze *della scala*, może być nawet, że tam byli pierwszorzędnymi śpiewakami — ale w chórze. Znać pochwały, jakie niedawno temu zyskał sobie u nas basista teatrów włoskich (!) zachęciły i inne podobnego rodzaju znakomitości do pielgrzymowania do naszego miasta — i do robienia nam podobnych niespodzianek, które coś na *prima aprilis*, jeżeli nie na coś gorszego wyglądają.

---

**Kobiety jako nauczycielki w szkołach publicznych.** — Amerykanie uważają kobietę za najlepszego nauczyciela, i jeżeli nie wyłącznie kobiet do nauczania używają, to dla tego, że jeszcze nie ma ich tyle i tak wysoko wykształconych, żeby niemi szkoły wszystkie, by też i najwyższe obsadzić. Brak ten coraz jest mniejszy w miarę, jak powstają zakłady naukowe wyższe dla kobiet i rozszerza się zakres nauk, dotąd, szczególniéj w nieruchoméj pod tym względem Europie, jedynie mężczyznom wykładanych. Dosyć dobry obraz stanu, do jakiego nauczycielstwo publiczne za pośrednictwem kobiet doszło w Ameryce północnéj, daje świeżo wyszłe w Londynie dzieło o wychowaniu publicznem w Stanach Zjednoczonych; niemniéj parę rysów szkół przeznaczonych dla nauki płci żeńskiéj. W szkole wyższéj w Baker (Stan Kanzas), w któréj wykładu nauk słuchają uczniowie obojéj płci, katedra języka greckiego jest zajęta przez 21-letnią profesorkę, pannę Beldwin; młoda ta uczona wezwana była, by na otwarcie ostatniego roku szkolnego powiedziała stosowną mowę. W szkole wyższéj Saint Laurent (Stan New-York) młode nauczycielki wykładają ekonomią polityczną, matematykę dla inżynierów itd. W Oberlin (tenże Stan), gdzie najwięcéj jest szkół mięszanych dla obojga płci, postępowanie młodzieży męzkiéj dowiodło w czasie wojny domowéj, że wcale nie straciła męzkiego powołania w towarzystwie swych współuczennic, bo cała wstąpiła w szeregi wojskowe. W sali jednego z tamtejszych kolegjów jest obraz, przedstawiający bitwę pod Dennison, z następującym podpisem: „Walczący pod Dennison najmilszym w świecie dziewczętom z Oberlin w 1861“. Co godne uwagi, to to, że w Oberlin kurs języka angielskiego wykłada murzynka. Kolegium w Vassar (w Poughkeepsie w Stanie New-York), założone wyłącznie dla kobiet,*) jest instytucją wzorową nawet

---

*) Pisaliśmy o tém w zeszłym roku.

dla Ameryki Północnéj, gdzie jest tyle instytucyj wzorowych. Piwowar Maciej Vassar dał na nie fundusz, zbudowane zostało na podobieństwo Tuileryów paryskich. Budynek ma 500 stóp długości, a 176 szerokości i umieszczony jest wśród rozkosznego parku. Prócz gmachu głównego jest tam na prawo budynek, mieszczący ujeżdżalnią i salę do gimnastyki; na lewo inny, w którym jest obserwatorjum astronomiczne i mieszkanie dyrektorki, pani Mitchell. W pawilonach, tworzących skrzydla gmachu głównego, są mieszkania bardzo miłe, wynajmowane po cenie niesłychanie niskiéj nauczycielkom, dającym lekcje w zakladzie. W środku gmachu jest kaplica, sala zbiorowa i sale szkolne, wszystko doskonale urządzone, oraz biuro administracyi, biblioteka, galerja sztuk pięknych. Mieszkania uczennic są urządzone w grupy po cztery pokoje i tak, że trzy z nich są sypialne, a z każdego z nich jest wyjście do przynależnego im czwartego, stanowiącego salon. W obrębie gmachu jest także gabinet historyi naturalnéj. Kolegjum to wielką ma wziętość, obecnie jest w niém 350 wychowanic. Egzamina odbywają się tam z wielką surowością, a nauczycielki należą do najlepszych, jakie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Południowéj znaleść można było. (*D. P.*)

---

*** Zabrakło teatru, cyrku, koncertów salonowych, za ciasno w ogrodach publicznych, — karnawał niestety tylko raz na rok się zdarza; więc konieczny z tego wszystkiego wynik, że majówki przyszły na porządek dzienny. I chociaż wydalając się za miasto, musimy utykać o fortyfikacje, niemniéj jednak na wszystkie rogatki odbywaly się pielgrzymki szkół i korporacyj rozmaitych z muzyką i gwarem w okolice Krakowa. Zaprowadzono też pierwszy raz tego roku zwyczaj rozsćłania drukowanych zaproszeń na majówki. Zważywszy jednak, że salony przyrody są dla wszystkich bez wyjątku otwarte, jedynym gospodarzem od którego wszystko zależy, jest pogodne słońce, a jedyną formą wymaganą najzupełniejsza swoboda — uważamy zaproszenia podobne za śmieszną pretensjonalność bez potrzeby i celu. — Należy się spodziewać, że i Wianki tego roku odbędą się świetnie, i że zapewne „Muza" na osobnym galarze śpiewem i muzyką do tego uroczego obchodu się przyczyni.

† Władysław LECHOWSKI, prawnik, żołnierz z ostatniego powstania, powróciwszy po kilkuletniéj niewoli z Syberyi, zmarł w Krakowie w skutek cierpień nabytych w kopalniach nerczyńskich.

*** Nowiny krakowskie. Jezuici wydaleni z Pragi, nie wpuszczeni za bramy przez gminę miasta Wiednia — rozgościli się już należycie w Krakowie — zakupili dworek na Wesołéj, mają zakładać konwikt. Nie wiadomo jeszcze czy Rada miejska wyznaczy im subwencyją! — Felicjanki budują się obszernie na przedmieściu Smoleńsk. — Wpływ literatury wzmaga się widocznie: zapewne na skutek broszury p. Kominkowskiego. — Portier w botanicznym ogrodzie nie wpuszcza żydów nie ubranych po francusku.— Zapowiedziany jest przybytek nowego zakonu żeńskiego do Krakowa Towarz. ś. Wincentego urządziło loterją fantową. — Wielki alarm: ks. Semeńko objawił w trzech kazaniach, że jest mnóstwo bogów — nie jeden — ale fałszywe. — W skutek wolności zarobkowania, Rada miejska nakazała chłopcom żebrzącym atakować przechodniów nie już pojedyńczo, ale gromadnie. — Poznań tego roku nie chce poznać się z teatrem naszym, a „Nowiny lwowskie" odznaczają się tą specjalnością, że nie uznają p. Rapackiego. — Dziennikarstwo galicyjskie zawiązało stowarzyszenie wzajemnéj konsumcyi.

---

*** Etykieta. Do istot najwięcéj spotwarzonych na świecie, a które jednak daleko są lepsze jak ich slawa, należy: jejmość pani etykieta. Szacowną tę niewiastę nazywa w ogóle każdy, bez namysłu sztywną, nudną, zimną, zbyteczną, drewnianą, męczącą, aż nawet ubliżającą godności człowieka i zabijającą najlepsze jego uczucia. Szczególniéj też luba młodzież wygaduje na etykietę niestworzone rzeczy poza oczy. Łatwo to wytłómaczyć, ale nie idzie za tém, żeby to było słusznie — owszem w interesie szczególniéj żeńskiéj *jeunesse dorée* należy się bronić honoru téj damy, gdyż po prawdzie złota, różowa młodzież, może i nie ma lepszéj przyjaciołki jak właśnie etykieta. Bo czémże ona jest:

W albumie otrutéj nie dawno pani Choryńskiéj znajdowało się między innemi i to zdanie, wyjęte z jednego niemieckiego autora: „Miłość i przyjaźń potrzebują zaufania — ale u szlachetniejszych natur nie schodzi nigdy zaufanie na poufałość, która często graniczy z niegrzecznością i nieokrzesaniem i bywa właśnie brakiem względów". Zdanie to niechaj będzie dewizą do *plaidoyer etiquettal*.

Ogół wszystkich używanych w towarzystwie form wzajemnéj względności i poszanowania — oto etykieta. Wszelkie obcowanie ludzi ze sobą polega na zwyczaju. Ta częć zwyczajów, która jest nieodzownie konieczną dla utrzymania towarzystwa — nazywa się prawem. Inne zwyczaje, które służą do ułatwiania i uprzyjemnienia stosunków towarzyskich — są etykietą. Dlatego to kobiety daleko silniéj etykiety się trzymają; czują one, że nie wychodzi to wcale na korzyść towarzystwa, jeżeli się mężczyzni, od przymusu etykiety, jak się to mówi wyzwalają. Co nie jest na korzyść towarzystwa, jest zarazem na niekorzyść kobiety — władczyni towarzystwa.

Prawda, że etykieta z swojemi wymaganiami jest nieraz uciążliwą, ale nierównie częściéj jest pomocną, ochrończą — a kiedy potrzeba, to właśnie uśmiecha się, bierze za rękę i uczy stawiać kroki.

W stosunkach towarzyskich nic nie dzieje się bez etykiety; siedzi ona zarówno nad trumną biedy, jak i nad kolebką bogactwa; ona prowadzi nieśmiałego młodzieńca z pierwszemi odwiedzinami do domu ukochanéj; tak samo jak i czuwa przy pierwszém wystąpieniu w świat młodéj dzieweczki. Lud wiejski, najuporniéj przy zwyczajach stojący, trzyma się też przy każdéj sposobności etykiety daleko silniéj, jak niejeden marszałek dworu w stolicy.

I zkądże tyle wygadywania na etykietę? Jest ona jakoby piękny obraz w rodzicielskim domu; patrzymy na niego od pierwszych dni życia, nie znamy czasu, w którymby go nie było, patrzymy na niego jeszcze i dzisiaj codziennie — ale nie widzimy go, nie uważamy, oczy nasze nie zatrzymują się na nim, nie robi na nas wrażenia. Jednak niechnoby go wzięto, niechnobyśmy nie zobaczyli go naraz na zwykłém miejscu — jakież smutne wrażenie zrobiłoby na nas puste miejsce? Tak samo ma się rzecz z etykietą. —

Etykieta była przy nas od dzieciństwa, jest około nas ciągle, nie spostrzegamy jéj, ale ona jest. Dopieróżbyśmy zrobili oczy, gdyby pewnego dnia zniknęła, ta miła, stara etykieta. Rozważmy tylko, ot same drobiazgi, nic więcéj:

Oto upadła pannie chusteczka — a żadnemu z panów ani się śni, żeby się schylić po nią i oddać z ukłonem. Pani wstaje i wychodzi z pokoju — a nikt się nie ruszy otworzyć jéj drzwi.... Panowie zmęczeni rozsiadają się z kawiarnianą wygodą, nawet drzemią.... A weźmy brak etykiety w domowém pożyciu — jakżeż to wtedy ordynarnieje towarzyskość! I negliż, i nogi na sofie i t. p. wobec kobiet, wobec całego domowego towarzystwa!...

Oczywiście nie byłoby w tém wielkiego nieszczęścia samemu się schylić po chustkę, drzwi sobie otworzyć — ale powiedzmy z ręką na sercu: jakośby się to nam nie bardzo podobało — a jeżeli się przyzwyczaimy do tego, traci na tém delikatność i ogłada, surowiejemy. (Dok. nast.)

---

*** Z życzliwością należną wszelkim usiłowaniom ku podźwignięciu oświaty naszego ludu, téj najważniejszéj ze spraw naszych społecznych, przychodzi nam powitać prospekt świeżo ogłoszonego w Krakowie „Wydawnictwa Czytelni ludowéj w ilustrowanych książeczkach". Na czele tego wydawnictwa stanął p. Mieczysław hr. Dzieduszycki, połączywszy się z p. Aleksandrem Nowoleckim, niegdyś księgarzem warszawskim, jednym z najczynniejszych wydawców książek ludowych. — Wydawnictwo przyjęło pięć działów w publikacjach swoich: Dział I. „książeczki obrazkowe", składające się z powiastek, obrazków osnutych na tle życia ludu wiejskiego. Dział II. „Pogadanki ks. Proboszcza", zawierające w zajmujących opowiadaniach nauki moralne. Dział III. „Szkółka rolniczo-przemysłowa", obejmująca wszystko, co tylko właściciela małéj roli obchodzić może, mianowicie: uprawę roli, ogrodnictwo, sadownictwo, weterynarją, sposoby najkorzystniejszego spieniężenia płodów surowych itp. Dział IV. „Wiadomości początkowe z nauk przyrodniczych", obrazki krajów i ludów, odkryć i wynalazków. Dział V. „Obrazki z życia ludzi zasłużonych" w wszelkich zawodach. — Książeczek Wydawnictwo obowiązuje się dostarczyć Sz. Prenumeratorom rocznie 18—20, obejmujących razem do 60 arkuszów druku, a to za cenę prenumeracyjną 4 zł. w. a.!... Oprócz tego jako premja, które za bardzo małą opłatą Sz. Prenumeratorowie otrzymać mogą, przygotowało Wydawnictwo: „Kalendarz ilustrowany dla ludu wiejskiego i miejskiego na rok 1869", układu J. K. Gregorowicza, oraz „Poczet królów i książąt polskich", układu A. Nowoleckiego, z tekstem.

Cel i charakter Wydawnictwa, wreszcie niezwykła taniość powinny, o ile nam się zdaje, zjednać przedsięwzięciu temu jak najszerszy udział, do którego światłych Ziomków usilnie wzywamy.

Przedpłata, w któréj odbiorze chętnie pośredniczyć będziemy, wynosi: w Krakowie rocznie 4 złr., półrocznie 2 złr. Z dodaniem premium „Kalendarza ilustrowanego na rok 1869" i „Pocztu książąt i królów polskich" rocznie 4 złr. 70 c. półrocz. 2 złr. 90 c. w. a.

Z przesyłką pocztową:

| | | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| bez premii | rocznie 4 | złr. | 30 | c. — | lub 2 | tal. | 25 | sgr. |
| „ | „ półrocz. 2 | „ | 20 | „ — | „ 1 | „ | 15 | „ |
| z dodaniem premii | rocznie 5 | „ | — | „ — | „ 3 | „ | 10 | „ |
| „ | „ półrocz. 3 | „ | 10 | „ — | „ 2 | „ | 2 | „ |

Pieniądze można przesyłać wraz z prenumeratą na „Kalinę".

*** Wkrótce zaczniemy drukować dwa z publicznych odczytów mianych tego roku we Lwowie i Krakowie, a mianowicie: Dr. Wołek: „O zachowaniu wzroku" i p. Alf. Szczepański „O poezyi lirycznéj".

Z nowin księgarskich K. Wilda wyjmujemy: Feliks Beneveni: „Odczyty o wystawie paryskiéj 1867". Warszawa. 8 złp. 16 gr.

*** Dumas, (syn): „Pojęcia pani Aubray". — Komedja w przekładzie W. Umiałowskiego. — Warszawa. — 4 złp. — Rozbiór téj wybornéj komedyi podaliśmy dawniéj.

*** Grabowski Ambroży: „Groby królów polskich" na Wawelu. Kraków. — 1 złr. 30 c. — Wydanie drugie.

*** „Opowiadanie o Kazimierzu Wielkim", książka dla ludu. — Lwów. — 6 c.

*** Rzewuski H.: „Próbki historyczne" — rzecz pośmiertna. — Paryż 1 złr. 80 c.

*** „Wczoraj", znakomita powieść (Moraczewskiej), — nowe wydanie. — Poznań. 2 złr. 70 c.

*** Guizot: „Melanges biografiques et litteraires". — 4 złr. 50 cent.

*** „Skorowidze" miejsc i podziału Galicyi. — Mały 1 złr. — zupełny 2 złr. 50 c.

☞ Ostrzegaliśmy niedawno przed werbunkami jakoby do jakiegoś Langiewicza — dzisiaj znowu dochodzą nas wieści, że jacyś ajenci łapią chłopców na lep jakichś słowiańskich odezw. Że niedorosłą młodzież można obałamucić, to nic dziwnego, ale że stosunki nasze są tego rodzaju, że młodzi chłopcy do nikogo jawnego zaufania nie mają, i że władze na podobne niepokoje nie mają dziś sposobów, są to zaprawdę okoliczności godne zastanowienia.

---

Wydawca Szczepański Alfred Redaktor odpow. Michał Bałucki.

**Prenumerata miejscowa „Kaliny"** wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
**Z przesyłką pocztową:** rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.
**Prenumerata zagraniczna:** bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
**Mody i kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.
**Nuty** rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.
**W Krakowie prenumerować** można w biurze Redakcyi: ul. Jagiellońska 204, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.
We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu".
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.
**Reklamacje nieopieczętowane** nie opłaca się.
**Inseraty** (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.